
TANA
FRENCH
Prawda rzadko
wygrywa z dobrze
opowiedzianą historią.
ŚCIANA
SEKRETÓW
ZBRODNIE DUBLINA
ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SECRET PLACE

Copyright © Tana French 2014
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2016
All rights reserved

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: Arcangel/Joanna Jankowska; Shutterstock

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

PROLOG

Jest taka piosenka, którą bez przerwy nadają w radiu, ale Holly ciągle wyłapuje tylko jej pojedyncze urywki. „Czy pamiętasz, och, pamiętasz, kiedy byliśmy…", śpiewa z przejęciem czysty głos dziewczyny; lekki i szybki rytm każe ci się unieść na palcach i przyspiesza ci tętno, by za nim nadążyło, a po chwili milknie. Holly ciągle wypytuje resztę dziewczyn: „Co to jest?", zawsze jednak słyszy za mało, żeby wyjaśnić, o jaki utwór jej chodzi. Piosenka brzmi gdzieś w tle, kiedy rozmawiają o czymś ważnym albo muszą biec do autobusu; zanim zapanuje spokój, śpiew znika, zostaje tylko cisza albo łomot Rihanny czy Nicki Minaj.

Tym razem piosenka dobiega z samochodu, kabrioletu, w którym opuszczono dach, by złowić cały słoneczny blask nagłej eksplozji lata, po której jutro może nie być śladu. Sączy się przez żywopłot na plac zabaw w parku, gdzie jedzą topniejące lody, trzymając je z dala od szkolnych zakupów. Holly – siedząca na huśtawce, z głową odchyloną do tyłu i przymrużonymi oczami, oglądająca przez rzęsy słoneczne wahadło na niebie – prostuje się i nasłuchuje.

– To ta piosenka – mówi. – Co to…

Ale w tym momencie Julia upuszcza gałkę lodów na jej włosy, zrywa się z karuzeli z okrzykiem: „Kurwa!", bierze od Bekki chusteczkę i pożycza od Seleny butelkę wody, żeby zmyć jej z włosów lepką maź, cały czas zrzędząc (przede wszystkim po to, by Becca się rumieniła, mówi szelmowskie spojrzenie skierowane do Holly), że wygląda, jakby właśnie obciągnęła komuś, kto słabo celuje – a tymczasem samochód odjeżdża.

Holly kończy lody i zawisa na łańcuchach huśtawki głową w dół, prawie muskając włosami ziemię i oglądając świat do góry nogami i pod kątem. Julia na wznak wyciąga się na karuzeli, którą powoli obraca, odpychając się stopami; karuzela skrzypi miarowo i kojąco. Obok Julii leży na brzuchu Selena, leniwie grzebie w torbie z zakupami i pozwala Jules kręcić się w kółko. Becca, przepleciona przez drabinki, liże lody koniuszkiem języka, sprawdzając, na jak długo wystarczą. Zza żywopłotu docierają uliczne hałasy i okrzyki chłopaków, które w słońcu i z oddali brzmią łagodniej.

– Zostało dwanaście dni – mówi Becca i patrzy, czy reszta się z tego cieszy.

Julia unosi w toaście rożek z lodami; Selena trąca go zeszytem do matematyki.

Holly cały czas pamięta o stojącej obok ramy huśtawki dużej papierowej torbie, która sprawia jej przyjemność, nawet gdy o niej nie myśli. Ma ochotę zanurzyć w niej twarz i ręce, opuszkami palców i nosem poczuć tę lśniącą nowość: błyszczący segregator z równiutkimi rogami, komplet ołówków tak ostrych, że można się nimi ukłuć do krwi, zestaw przyborów geometrycznych, w których wszystkie kreseczki podziałek są wyraźne i nietknięte. I inne rzeczy na ten rok: przewiązane wstążkami puszyste żółte ręczniki; zamknięta w gładkiej folii poszewka na kołdrę w szerokie żółte i białe pasy.

Pip-pip-pip-piij, odzywa się głośno jakiś ptaszek. Powietrze jest rozgrzane do białości i wypala wszystko do samego środka. Selena, która unosi głowę, jest tylko burzą włosów i rozchylonymi w uśmiechu ustami.

– Torby z siatki! – woła nagle Julia w stronę rozpalonego nieba.

– Hm? – zwraca się Selena do rozłożonego w dłoni wachlarza pędzelków.

– Na liście wyposażenia. „Dwie torby z siatki do pralni”. Gdzie takie coś się kupuje? I co się z tym robi? Chyba nigdy nawet nie widziałam torby z siatki.

– Trzymasz w tym swoje rzeczy do prania – wyjaśnia Becca. Ona i Selena mieszkają w internacie od początku, odkąd skończyły dwanaście lat. – Żeby nie trafiły do ciebie obrzydliwe cudze majtki.

– Mama kupiła mi taką torbę w zeszłym tygodniu – mówi

Holly, siadając na huśtawce. – Mogę ją zapytać gdzie. – Przy tych słowach czuje zapach prania unoszący się z suszarki w domu, widzi, jak składają razem z mamą prześcieradło, a w tle huczy Vivaldi.

Nie wiadomo dlaczego przez krótką i straszną chwilę myśl o internacie gniecie ją w środku jak próżnia, która wsysa klatkę piersiową. Holly chce zawołać mamę i tatę, rzucić się im w ramiona i błagać, żeby pozwolili jej na zawsze zostać w domu.

– Hol – mówi łagodnie Selena i uśmiecha się, mijając ją na karuzeli. – Będzie super.

– No – odpowiada Holly. Becca przygląda się jej, zaciskając palce na szczeblu drabinki, i natychmiast jeży się z niepokoju. – Wiem.

Chwila mija. Zostawia po sobie wyczuwalny ślad, jak drobiny piasku we wciąganym do płuc powietrzu: jeszcze jest czas zmienić zdanie, byle szybko, zanim będzie za późno, uciekać, uciekać do domu i schować głęboko głowę. Pip-pip-piij, odzywa się kpiąco niewidzialny ptaszek.

– Zaklepuję łóżko pod oknem – mówi Selena.

– M-m, nie – sprzeciwia się Julia. – Nie możesz zaklepać, bo ja i Hol nawet nie wiemy, jak wyglądają pokoje. Trzeba zaczekać, aż będziemy w internacie.

Selena śmieje się z niej, a karuzela obraca się wolno w nierównym cieniu rzucanym przez liście.

– Przecież wiadomo, jak wygląda okno. Zaklepujesz czy nie?

– Zdecyduję się, jak już tam wejdziemy. Masz coś do tego?

Becca wciąż przygląda się Holly spod ściągniętych brwi, w roztargnieniu skubiąc rożek z lodami.

– Zamawiam łóżko najdalej od Julii – oświadcza Holly. Uczennice trzeciej klasy dostają czteroosobowe pokoje: będą mieszkać razem w czwórkę. – Chrapie jak tonący bawół.

– Odwal się, wcale nie. Śpię cichutko jak księżniczka elfów.

– Czasem tak – zgadza się Becca i czerwieni się, zaskoczona własną śmiałością. – Kiedy ostatni raz u ciebie nocowałam, czułam, jak cały pokój wibruje.

Julia pokazuje jej środkowy palec, a Selena parska śmiechem. Holly uśmiecha się do niej i już się nie może doczekać następnej niedzieli.

Pip-pip-piij, mówi jeszcze raz ptaszek, mniej wyraźnie i bardziej sennie. A potem milknie.

1

Przyszła mnie odszukać. Większość woli się trzymać z daleka. Niewyraźny głos mruczy w słuchawce telefonu dla informatorów: „Widziałem w dziewięćdziesiątym piątym…", żadnych nazwisk, a jeśli o nie zapytasz, klik i koniec połączenia. Wydrukowany list nadany w innym mieście, papier i koperta wyczyszczone na błysk. Kiedy chcemy się z nimi spotkać, musimy ich wytropić. A tu, proszę – sama do mnie przyszła.

Nie poznałem jej. Byłem na schodach i żwawym krokiem zmierzałem do swojego biura. Majowy poranek, choć wydawało się, jakby lato było już w pełni, przez okna recepcji wlewał się intensywny blask słońca, rozjaśniając spękany tynk w całym pomieszczeniu. Nuciłem pod nosem melodię, która brzmiała mi w głowie.

Zobaczyłem ją, jasne, że tak. Na sfatygowanej skórzanej kanapie w rogu, z założonymi na piersi rękami, kołyszącą nogami skrzyżowanymi w kostkach. Długi kucyk platynowych włosów; szykowny szkolny mundurek, plisowana spódniczka w zielono-granatową kratę, granatowy blezer. Czyjeś dziecko, pomyślałem. Czeka na tatusia, żeby zaprowadził ją do dentysty. Może córka nadkomisarza. W każdym razie kogoś z wyższą pensją niż ja. Chodziło nie tylko o szkolny herb na blezerze, ale też o niedbałą postawę, władczo uniesiony podbródek, żeby wszyscy widzieli, że jest tu u siebie i guzik ją obchodzą jakieś papiery. Minąłem ją – szybko skinąłem głową, na wypadek gdyby rzeczywiście była dzieckiem szefa – i sięgnąłem do klamki.

Nie wiem, czy mnie poznała. Może nie. Minęło sześć lat, była wtedy małym dzieckiem, a mnie nie wyróżnia nic szczególnego

oprócz rudych włosów. Mogła zapomnieć. A może od razu wiedziała, kim jestem, ale ze znanych sobie powodów milczała.

Pozwoliła się zaanonsować naszemu asystentowi administracyjnemu:

– Detektywie Moran, ktoś do pana. – Wskazał długopisem kanapę. – Panna Holly Mackey.

Kiedy się obróciłem, promienie słońca przemknęły mi po twarzy i nagle: no jasne. Powinienem poznać te oczy. Duże, jasnoniebieskie, z delikatnie zarysowanymi łukami powiek, lekko skośne i kocie: blada dziewczynka w klejnotach, postać ze starego obrazu, owiana tajemnicą.

– Holly – odezwałem się i wyciągnąłem rękę. – Cześć. Dawno się nie widzieliśmy.

Przez sekundę nie mrugała oczami, które zmierzyły mnie od stóp do głów i nie zdradziły niczego. Wstała. Wciąż podawała rękę jak mała dziewczynka, za szybko wyrywając dłoń.

– Cześć, Stephen – powiedziała.

Ładny głos. Wyraźny i spokojny, nie piszczała jak postać z kreskówki. Akcent na poziomie, choć nie karykaturalnie wytworny. Ojciec by jej na to nie pozwolił. Gdyby zaczęła tak mówić w domu, zaraz kazałby jej zrzucić ten mundurek i wyprawił ją do państwowej szkoły.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Ciszej:

– Coś ci przyniosłam.

To mnie zastanowiło. Dziesięć po dziewiątej rano, w pełnym umundurowaniu: urwała się ze szkoły, gdzie na pewno zauważą jej nieobecność; nie chodziło tu o spóźnioną parę lat kartkę z podziękowaniami.

– Tak?

– Ale nie tu.

Wskazujący wzrok naszego administracyjnego mówił: „Gdzieś na osobności". Przy nastolatce trzeba uważać. Przy córce detektywa trzeba uważać dwa razy bardziej. Ale przy Holly Mackey, jeśli przyprowadzisz osobę, której sobie nie życzy, to koniec.

– Chodź, poszukamy miejsca, gdzie będzie można pogadać – powiedziałem.

Pracuję w wydziale spraw niewyjaśnionych. Kiedy wzywamy świadków, chcą wierzyć, że to nic wielkiego: że to nie jest żadne śledztwo w sprawie morderstwa z prawdziwego zdarzenia, z bronią i kajdankami w tle, nic, co wstrząsnęłoby ich życiem jak tornado. Jakaś dawna historia, zmiękczona i rozmyta przez czas. Dopasowujemy się do tych oczekiwań. Nasz główny pokój przesłuchań wygląda jak sympatyczna poczekalnia u dentysty. Miękkie kanapy, żaluzje, szklany stolik z plikiem zaczytanych czasopism. Lurowata herbata i kawa. Nie trzeba zwracać uwagi na kamerę w rogu ani na przysłonięte żaluzjami lustro weneckie – nie trzeba, jeżeli się nie chce, a oni nie chcą. Nic złego się panu nie stanie, parę minut i może pan iść do domu.

Zaprowadziłem tam Holly. Inna dziewczyna na jej miejscu drżałaby przez całą drogę, nerwowo rozglądała się na boki, ale dla Holly to nie było nic nowego. Szła korytarzem, jakby była u siebie.

Obserwowałem ją po drodze. Świetnie sobie radziła z dorastaniem. Wzrost średni albo trochę mniej niż średni. Szczupła, bardzo szczupła, chociaż to było naturalne; nie wyglądała na zagłodzoną. Krągłości wykształcone mniej więcej w połowie. Żadna piękność, przynajmniej na razie, lecz nie zauważyłem też niczego brzydkiego – pryszczy, aparatu na zębach, nieregularności rysów twarzy – a od innych blond klonów odróżniały ją oczy, które kazały ci się za nią obejrzeć.

Chłopak ją pobił? Obmacywał, zgwałcił? Holly wolała przyjść do mnie zamiast do kogoś obcego z przestępstw seksualnych?

„Coś ci przyniosłam". Jakiś dowód?

Szybkim ruchem zatrzasnęła za nami drzwi pokoju przesłuchań. Rozejrzała się.

Włączyłem kamerę, jak gdyby przypadkiem wciskając przycisk.

– Usiądź – poprosiłem.

Holly nie ruszyła się z miejsca. Przejechała palcem po wytartym fragmencie zielonego obicia kanapy.

– Ładniej tu niż kiedyś w tamtych pokojach.

– Co u ciebie słychać?

Ciągle rozglądała się po pokoju, nie patrzyła na mnie.

– Wszystko okay.

– Chcesz się napić herbaty? Kawy?

Pokręciła głową.

Czekałem.

– Jesteś starszy – zauważyła Holly. – Dawniej wyglądałeś jak uczeń.

– A ty wyglądałaś jak mała dziewczynka, która przychodziła na przesłuchania z lalką. To była Clara, prawda? – Zwróciła głowę w moją stronę. – Chyba oboje jesteśmy starsi.

Po raz pierwszy się uśmiechnęła. To samo lekkie drgnienie i napięcie warg, które pamiętałem. Wtedy nasuwało mi się na myśl, że w tym uśmiechu jest coś żałosnego. Znów odniosłem to wrażenie.

– Miło cię widzieć – powiedziała.

Kiedy Holly miała dziewięć czy dziesięć lat, była świadkiem w sprawie morderstwa. Nie prowadziłem tego śledztwa, ale to ze mną rozmawiała. Przesłuchiwałem ją; przygotowywałem ją do zeznawania w sądzie. Nie chciała tego robić, lecz mimo to zeznawała. Może zmusił ją tato, detektyw. Może. Nawet gdy miała dziewięć lat, nie łudziłem się, że potrafię ją zrozumieć.

– Mnie też – odparłem.

Zrobiła szybki wdech, unosząc ramiona, i skinęła głową – do siebie, jak gdyby coś zaskoczyło. Rzuciła na podłogę torbę z książkami. Wsunęła kciuk pod klapę blezeru, żeby pokazać herb.

– Chodzę do Kildy – poinformowała mnie.

I przyglądała się, czekając na moją reakcję.

Pokiwałem głową, przypuszczając, że można to poczytać za bezczelność. Święta Kilda: szkoła, o której tacy jak ja nie powinni nigdy słyszeć. I nigdy bym o niej nie słyszał, gdyby nie trup chłopaka.

Prywatna szkoła dla dziewcząt na zielonym przedmieściu. Zakonnice. Rok temu dwie zakonnice wyszły rankiem na spacer i znalazły chłopca leżącego w kępie drzew na skraju terenu szkoły. Z początku sądziły, że śpi, może jest pijany. Zebrały się w sobie, żeby go zmieszać z błotem i darnią i dowiedzieć się, na czyją cześć nastawał. Zagrzmiały całą mocą zakonnych głosów: „Młody człowieku!”. Ale on ani drgnął.

Szesnastoletni Christopher Harper ze szkoły dla chłopców, oddzielonej od Świętej Kildy ulicą i dwoma wysokimi murami. W

nocy ktoś mu rozwalił głowę.

Przy śledztwie pracowało tylu ludzi, że mogliby zbudować biurowiec, przez tyle nadgodzin, że mogliby spłacić hipoteki, i naprodukowali tyle papierów, że można by z nich wznieść tamę na rzece. Podejrzany dozorca, złota rączka: wykluczony. Kolega z klasy, który wdał się w bójkę z ofiarą: wykluczony. Okoliczni groźni obcokrajowcy, którzy budzili grozę w okolicy: wykluczeni.

A potem nic. Żadnych nowych podejrzanych, żadnych powodów, dla których Christopher mógł się znaleźć na terenie szkoły Świętej Kildy. Później coraz mniej nadgodzin, coraz mniej ludzi i coraz większe nic. Nie można powiedzieć tego wprost, kiedy ofiarą jest dzieciak, ale sprawa została zakończona. Wszystkie papiery trafiły już do piwnicy wydziału zabójstw. Prędzej czy później media zaczną wiercić dziurę w brzuchu szefom i sprawa trafi do nas, ekipy ostatniej szansy.

Holly przygładziła klapę blezeru.

– Słyszałeś o Chrisie Harperze, prawda? – zapytała.

– Prawda – potwierdziłem. – Byłaś już wtedy u Świętej Kildy?

– Tak. Chodzę tam od pierwszej klasy. Teraz jestem w czwartej.

Znów umilkła, każąc mi mozolnie wypracować każdy krok. Wystarczy jedno złe pytanie i Holly wyjdzie, zniechęcona do mnie: do starego, beznadziejnego dorosłego, który zupełnie nic nie rozumie. Trzeba uważać.

– Mieszkasz w internacie?

– Tak, od dwóch lat. Ale tylko od poniedziałku do piątku. Na weekendy jeżdżę do domu.

Nie pamiętałem, jaki wtedy był dzień.

– Byłaś tam? Tej nocy, kiedy to się wydarzyło?

– Kiedy Chris został zabity.

Błysk złości. Córeczka tatusia: nie cierpiała owijania w bawełnę, w każdym razie gdy owijali inni.

– Kiedy Chris został zabity – przytaknąłem. – Byłaś tam?

– Nie byłam dokładnie tam. Pewnie, że nie. Ale tak, byłam w szkole.

– Widziałaś coś? Słyszałaś?

Znów zobaczyłem złość, tym razem bardziej iskrzącą.

– Już mnie o to pytali. Detektywi z wydziału zabójstw. Pytali

nas wszystkie, chyba z tysiąc razy.

– Ale od tego czasu mogłaś sobie coś przypomnieć – zauważyłem. – Albo zmienić zdanie, czy dalej trzymać coś w tajemnicy.

– Nie jestem głupia. Wiem, o co w tym chodzi. Pamiętasz? – Stała napięta jak struna, gotowa w każdej chwili wyjść.

Zmieniłem taktykę.

– Znałaś Chrisa?

Holly się uspokoiła.

– Widywałam go. Nasze szkoły robią razem różne rzeczy; poznaje się ludzi. Nie kumplowaliśmy się czy coś, ale nasze grupy często się spotykały.

– Jaki był?

Wzruszyła ramionami.

– Chłopak jak chłopak.

– Lubiłaś go?

Znowu wzruszenie ramion.

– Po prostu go widywałam i tyle.

Znam trochę tatę Holly. Franka Mackeya z wydziału wywiadu. Chcesz uderzyć na niego wprost, zrobi unik i dobierze się do ciebie z boku; chcesz zajść go z boku, zaatakuje cię bykiem.

– Przyszłaś tu, bo chcesz, żebym się o czymś dowiedział – rzuciłem. – Nie zamierzam bawić się w zgadywanki, w których nie mogę wygrać. Jeżeli nie jesteś pewna, czy chcesz mi powiedzieć, to wyjdź i przemyśl to, dopóki nie zdecydujesz. Jeżeli jesteś pewna, to wyduś to wreszcie.

To spotkało się z aprobatą Holly. Mało brakowało, by znowu się uśmiechnęła, ale skinęła tylko głową.

– Mamy taką tablicę – zaczęła. – W szkole. Tablicę ogłoszeń. Na ostatnim piętrze, naprzeciwko pracowni plastycznej. Nazywa się Ściana Sekretów. Kiedy masz jakiś sekret, nie cierpisz rodziców albo podoba ci się jakiś chłopak czy coś, możesz to napisać na kartce i powiesić.

Nie ma sensu pytać, po co robi się coś takiego. Nastolatki: nigdy ich nie zrozumiesz. Mam siostry. Nauczyłem się, że lepiej dać sobie spokój.

– Wczoraj wieczorem byłam z koleżankami w pracowni plastycznej… pracujemy na takim projektem. Zostawiłam tam telefon,

ale zorientowałam się, kiedy już była cisza nocna, więc nie mogłam po niego wrócić. Poszłam dzisiaj z samego rana, przed śniadaniem.

Potok słów toczył się zbyt gładko; bez pauzy, bez mrugnięcia okiem, bez zająknienia. Innej dziewczynie zarzuciłbym, że robi mnie w konia. Ale Holly miała praktykę – i miała tatę; podobno musiała mu składać zeznanie, ilekroć wróciła za późno do domu.

– Rzuciłam okiem na tablicę – ciągnęła Holly. Pochyliła się nad torbą, otworzyła ją. – Kiedy ją mijałam.

I zobaczyłem: dłoń zawahała się nad zieloną teczką. Odwrócona ode mnie twarz, przysłonięta kucykiem, pochylała się nad torbą sekundę dłużej, niż powinna. Dostrzegłem zdenerwowanie, którego szukałem. Nie była więc spokojna jak tafla jeziora.

Po chwili wyprostowała się i znów spojrzała mi w oczy z obojętną miną. Wyciągnęła do mnie rękę trzymającą zieloną teczkę. Puściła ją, gdy tylko jej dotknąłem, tak szybko, że o mały włos wylądowałaby na podłodze.

– To wisiało na tablicy.

Na teczce widniał sporządzony niedbale napis: *Holly Mackey, 4L, Wiedza o społeczeństwie*. Wewnątrz: przezroczysta plastikowa koperta. A w niej: pinezka, która wpadła do rogu, i jakaś kartka.

Poznałem tę twarz szybciej niż twarz Holly. Przez wiele tygodni pojawiała się na pierwszych stronach wszystkich gazet, na ekranach wszystkich telewizorów, we wszystkich biuletynach policyjnych.

To było inne zdjęcie. Odwracał się przez ramię na niewyraźnym tle pożółkłych jesiennych liści, śmiejąc się z szeroko otwartymi ustami. Przystojny. Lśniące brązowe włosy zaczesane do przodu, w stylu chłopaka z boysbandu, aż do gęstych ciemnych brwi, które opadały na końcach, nadając mu wygląd szczeniaka. Gładka cera, zaróżowione policzki; kilka piegów na kościach policzkowych, tu i ówdzie. Szczęka, która nabrałaby mocniejszych zarysów, gdyby miała czas. Oczy i nos zmarszczone w uśmiechu. Trochę zawadiackim, trochę uroczym. Energia, świeżość i zieleń, które przychodzą do głowy na dźwięk słowa „młodość". Letni romans, bohater młodszego brata, mięso armatnie.

Pod jego twarzą, w poprzek niebieskiego T-shirtu, były w dużych odstępach naklejone słowa równiutko wycięte z książki, jak w liście z żądaniem okupu.

Wiem, kto go zabił.

Holly przyglądała mi się w milczeniu.

Odwróciłem kopertę. Zwykła biała kartka papieru fotograficznego, jaki można kupić wszędzie. Żadnego napisu, nic.

– Dotykałaś? – spytałem.

Spojrzała w sufit.

– Pewnie, że nie. Weszłam do pracowni plastycznej, wzięłam tę kopertę i nożyk z balsy. Nożem wyjęłam pinezkę i złapałam kartkę i pinezkę do koperty.

– Dobra robota. A potem?

– Schowałam pod bluzką i wróciłam do pokoju, a potem wsadziłam do teczki. Powiedziałam, że się źle czuję, i położyłam się do łóżka. Kiedy pielęgniarka wyszła, wymknęłam się i przyszłam tutaj.

– Dlaczego?

Holly popatrzyła na mnie spod uniesionych brwi.

– Bo pomyślałam sobie, że będziecie chcieli wiedzieć. Jeżeli cię to nie obchodzi, możesz wyrzucić, a ja wrócę do szkoły, zanim zauważą, że mnie nie ma.

– Obchodzi mnie. Cieszę się, że to znalazłaś. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie pokazałaś tego nauczycielowi albo tacie.

Zerknęła na zegar na ścianie, przy okazji zauważając kamerę.

– Cholera. Właśnie. Pielęgniarka przychodzi jeszcze raz na dużej przerwie i jeżeli mnie nie będzie, zaczną świrować. Możesz zadzwonić do szkoły? Powiesz, że jesteś moim tatą i że jestem u ciebie. Powiedz, że dziadek jest umierający i kiedy zadzwoniłeś, żeby mi o tym powiedzieć, zwiałam, nie mówiąc nikomu ani słowa, bo nie chciałam, żeby kazali mi iść do pedagoga i mówić o swoich uczuciach.

Wszystko ułożyło się po mojej myśli.

– Zaraz zadzwonię do szkoły. Ale nie powiem, że jestem twoim tatą. – Z ust Holly wyrwało się gwałtowne westchnienie irytacji. – Powiem tylko, że chciałaś nam coś przekazać i zrobiłaś to, co należało. Nie powinni się czepiać. Dobra?

– Wszystko jedno. Możesz im przynajmniej powiedzieć, że nie wolno mi o tym rozmawiać? Żeby nie zawracali mi głowy?

– Nie ma sprawy. – Chris Harper ciągle śmiał się do mnie, a w ułożeniu jego ramion wyczuwało się tyle energii, że mógłby zasilić

połowę Dublina. Wsunąłem go z powrotem do koperty i zamknąłem. – Mówiłaś o tym komuś jeszcze? Może najlepszej przyjaciółce? Jeżeli tak, to super; muszę po prostu wiedzieć.

Przez usta Holly przemknął cień, który dodał jej lat i ujął prostoty. Kiedy się odezwała, jej głos wyraźnie próbował coś zagłuszyć.

– Nie, nikomu nie mówiłam.

– Okay. Zadzwonię do szkoły, a potem złożysz zeznanie. Chcesz, żeby mama albo tato brali udział w przesłuchaniu?

Oprzytomniała.

– Jezu, nie. Musi być przy tym ktoś jeszcze? Nie mogę zeznawać sama?

– Ile masz lat?

Wahała się, czy nie skłamać. Zrezygnowała z tego pomysłu.

– Szesnaście.

– Potrzebujemy obecności kogoś dorosłego. Żeby nie pozwolił mi cię zastraszać.

– Wcale mnie nie zastraszasz.

Co ty powiesz.

– Tak, wiem. W każdym razie posiedź tu chwilę. Zrób sobie herbaty, jeżeli masz ochotę. Wracam za dwie minuty.

Holly klapnęła na kanapę. Zwinęła się w kłębek: podkuliła nogi i oplotła je rękami. Przerzuciła kucyk do przodu i zaczęła gryźć jego koniec. W budynku jak zwykle było piekielnie gorąco, ale wyglądała, jakby było jej zimno. Nie patrzyła na mnie, gdy wychodziłem.

W wydziale przestępstw seksualnych dwa piętra niżej dyżuruje asystentka socjalna. Przyprowadziłem ją i przesłuchałem Holly. Potem w korytarzu poprosiłem tę kobietę, żeby odwiozła ją do Świętej Kildy – słysząc to, Holly posłała mi mordercze spojrzenie.

– Dzięki temu w szkole nie będą mieli wątpliwości, że naprawdę byłaś u nas; że nie kazałaś zadzwonić do nich swojemu chłopakowi. Nie będą się czepiać.

Jej wzrok mówił, że nie dała się nabrać.

Nie pytała mnie, co dalej, co zrobimy z tą kartką. Wiedziała, że lepiej nie pytać. Rzuciła tylko:

– Na razie.

– Dzięki, że przyszłaś. Zrobiłaś to, co należało zrobić.

Holly nie odpowiedziała. Posłała mi tylko coś na kształt

uśmiechu i pomachała, trochę drwiąco, trochę nie.

Patrzyłem, jak wyprostowana oddala się korytarzem w towarzystwie asystentki socjalnej, która człapała obok, próbując nawiązać z nią rozmowę, gdy nagle do mnie dotarło: w ogóle nie odpowiedziała na moje pytanie. Ominęła je zgrabnie jak łyżworolkarz i pognała dalej.

– Holly.

Odwróciła się, podciągając pasek torby na ramieniu. Czujna.

– Pytałem cię wcześniej. Dlaczego przyszłaś z tym akurat do mnie?

Holly przyglądała mi się przez chwilę. Niepokojącym wzrokiem, jak spojrzenie postaci z portretu, które zdaje się śledzić człowieka.

– Wtedy, rok temu – zaczęła – wszyscy chodzili wokół mnie na paluszkach. Jakbym miała przeżyć załamanie nerwowe i groziło mi odwiezienie w kaftanie bezpieczeństwa, z pianą na ustach, gdyby powiedzieli jedno słowo nie tak. Nawet tato udawał, że totalnie się nie przejmuje, ale widziałam, że cały czas się martwi. Ciągle: „aaa!". – Zgrzytliwy krzyk czystej furii i gest dłoni rozczapierzonych jak rozgwiazdy. – Ty jeden nie zachowywałeś się, jakbyś uważał mnie za cykora. Mówiłeś tylko: „Okay, to kicha, ale też mi coś, ludziom zdarzają się gorsze rzeczy i jakoś potrafią to przeżyć. Lepiej weźmy się do roboty, szybciej będziemy mieli to z głowy".

To bardzo ważne, żeby okazać delikatność niepełnoletnim świadkom. Organizują nam warsztaty i tak dalej; jeżeli naprawdę mamy szczęście, to nawet z prezentacjami w PowerPoincie. Ja akurat pamiętam, jak to jest być dzieciakiem. A ludzie zapominają. Odrobina delikatności: cudownie. Odrobina więcej, super. Jeszcze odrobina, a marzysz o tym, żeby rzucić się na wrażliwego dobroczyńcę z pięściami.

– Zeznawanie jako świadek jest rzeczywiście do kitu – odrzekłem. – Nikt tego nie lubi. Poradziłaś sobie z tym lepiej niż inni.

Tym razem w uśmiechu nie było drwiny. Dużo innych rzeczy, ale nie drwina.

– Może pani wytłumaczyć w szkole, że nie jestem cykorem? – zwróciła się Holly do asystentki socjalnej, która próbowała maskować zaskoczenie dodatkową warstwą delikatności. – Ani trochę? – I

wyszła.

• • •

Trzeba wiedzieć o mnie jedno: mam swoje plany.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy pomachałem na pożegnanie Holly i asystentce socjalnej, było znalezienie w systemie informacji o sprawie Harpera.

Śledztwo prowadziła detektyw Antoinette Conway.

Obecności kobiety w wydziale zabójstw nie powinno się uważać za skandal, nie powinno się nawet o tym wspominać. Ale wielu gliniarzy starej daty hołduje starym poglądom; wielu młodych zresztą też. Równość to tylko cienka powłoczka, można ją zdrapać paznokciem. Poczta pantoflowa utrzymuje, że Conway zdobyła tę robotę przez czyjeś łóżko, twierdzi, że dostała ją, bo wypadało mieć w wydziale damską rodzynkę. Miała zresztą w sobie coś wyjątkowego, co różniło ją od ziemistych i kartoflanych irlandzkich twarzy: jasną cerę, mocne łuki nosa i kości policzkowych, czarne włosy z niebieskawym połyskiem. Szkoda, że nie jeździ na wózku, twierdziła poczta pantoflowa, bo mogłaby już być komendantem.

Znałem Conway, przynajmniej z widzenia, zanim stała się sławna. W szkole policyjnej była dwa lata niżej. Wysoka dziewczyna z włosami ściągniętymi z tyłu. Zbudowana jak biegaczka, o długich nogach i rękach, długich mięśniach. Broda zawsze wysoko, ramiona zawsze prosto. W pierwszym tygodniu wokół Conway roiło się od facetów: próbowali pomóc jej się zaadaptować, byli tak mili, że okazywali jej życzliwość, byli tak mili, że byli mili; to tylko zbieg okoliczności, że dziewczyny, które wyglądały inaczej, traktowano inaczej. Nie wiem, co mówiła chłopakom, ale po pierwszym tygodniu przestali ją podrywać. Zaczęli jej natomiast dokuczać.

W szkole policyjnej była dwa lata niżej ode mnie. Rok później ode mnie przestała służyć w patrolu. Trafiła do wydziału zabójstw w tym samym czasie, kiedy ja trafiłem do spraw niewyjaśnionych.

Sprawy niewyjaśnione są w porządku. Bardzo w porządku dla kogoś takiego jak ja: dublińczyka, który jako pierwszy w swojej robotniczej rodzinie zdał maturę, zamiast uczyć się zawodu. W wieku dwudziestu sześciu lat odszedłem ze służby w patrolu, dwudziestu ośmiu – opuściłem wydział dochodzeniowy i zostałem przyjęty do

obyczajówki; tato Holly szepnął słówko komu trzeba. W tygodniu, w którym skończyłem trzydzieści lat, znalazłem się w wydziale spraw niewyjaśnionych, mając nadzieję, że nikt nie szepnął za mną słówka, i obawiając się, że jednak szepnął. Teraz mam trzydzieści dwa lata. Pora się wspiąć na kolejny szczebel.

Wydział spraw niewyjaśnionych jest w porządku. Jeszcze lepszy jest wydział zabójstw.

Tato Holly nie może szepnąć słówka w mojej sprawie, gdybym nawet chciał. Szef wydziału zabójstw serdecznie go nie cierpi. Za mną też nie przepada.

W sprawie, w której świadkiem była Holly, to ja aresztowałem podejrzanego. Ja przeczytałem przysługujące mu prawa, ja zatrzasnąłem mu kajdanki na rękach, ja podpisałem się na protokole zatrzymania. Byłem człowiekiem od wszystkiego, powinienem przekazywać innym każdą interesującą rzecz, jaka trafiała w moje ręce; powinienem jak grzeczny chłopczyk siedzieć w pokoju operacyjnym i spisywać zeznania świadków, którzy nic nie widzieli. Ale i tak aresztowałem sprawcę. Należało mi się.

Jeszcze jedno trzeba o mnie wiedzieć: potrafię dostrzec swoją szansę.

Tamto aresztowanie oraz motywacyjny szturchaniec od Franka Mackeya pozwoliły mi opuścić wydział dochodzeniowy. Tamto aresztowanie dało mi szansę przyjęcia do wydziału spraw niewyjaśnionych. Tamto aresztowanie zamknęło mi drogę do wydziału zabójstw.

Razem ze szczękiem kajdanek usłyszałem szczęk zatrzaskującej się bramy. „Masz prawo nic nie mówić, jeżeli nie chcesz” – i wiedziałem, że w dającej się przewidzieć przyszłości mam przesrane w wydziale zabójstw. Gdybym jednak pozwolił dokonać aresztowania komuś innemu, trafiłbym na czarną listę i miałbym przed sobą perspektywę kilkudziesięciu lat spisywania zeznań świadków, którzy niczego nie widzieli. „Wszystko, co powiesz, zostanie zapisane i może być wykorzystane w postępowaniu dowodowym”. Trzask.

Jeżeli widzisz szansę, trzeba ją wykorzystać. Byłem pewien, że ta brama kiedyś znowu się otworzy.

Minęło siedem lat i nadzieja zaczynała się urzeczywistniać.

Wydział zabójstw to stajnia koni czystej krwi. Wspaniałość

mięśni majestatycznie grających pod gładką, lśniącą sierścią, zapierająca dech w piersi. Wydział zabójstw to piętno na ramieniu, jak znak elitarnej jednostki albo gladiatora, znak, który przez całe twoje życie głosi: „Jeden z nas. Najlepszych".

Chcę do wydziału zabójstw.

Mógłbym przesłać Antoinette Conway kartkę i zeznanie Holly wraz z odpowiednią informacją i na tym koniec. Gdybym był lepiej wychowany, mógłbym do niej zadzwonić w tej samej chwili, gdy Holly wyjęła kartkę, a potem przekazać jej jedną i drugą.

Wykluczone. To była moja szansa. Jedna jedyna.

Drugie nazwisko przy sprawie Harpera: Thomas Costello. Stary wół roboczy. Kilkaset lat w wydziale zabójstw, od kilku miesięcy na emeryturze. Wiem, kiedy zwalnia się miejsce w zabójstwach. Antoinette Conway nie wybrała jeszcze nowego partnera. Ciągle działała w pojedynkę.

Poszedłem do szefa. Zrozumiał, co zamierzam zrobić, ale spodobała mu się myśl, co może nam dać udział w wyjaśnieniu głośnej sprawy. Spodobały mu się skutki, jakie to może mieć dla naszego przyszłorocznego budżetu. Ja też mu się podobałem, ale nie aż tak, żeby za mną tęsknił. Nie miał nic przeciwko temu, abym poszedł do zabójstw i osobiście wręczył Conway kartkę z życzeniami szczęśliwej środy. Nie musisz się spieszyć z powrotem, dodał szef. Jeżeli wydział zabójstw zechce mnie do tej sprawy, może mnie wziąć.

Conway nie będzie mnie chciała. Ale i tak mnie dostanie.

• • •

Conway była na przesłuchaniu. Usiadłem na pustym biurku w pokoju wydziału zabójstw, zacząłem gadać i dowcipkować z chłopakami. Gadania było niewiele; w zabójstwach jest dużo pracy. Wchodzisz tam i od razu skacze ci tętno. Dzwonią telefony, stukają klawisze komputerów, ludzie wchodzą i wychodzą; nie w pośpiechu, ale szybko. Kilku z nich znalazło jednak czas, żeby mi wsadzić parę szpil. Do Conway? Tak myślałem, że się z kimś bzyka, no tak, od tygodnia do nikogo się nie przypieprza; chociaż nie sądziłem, że może chodzić do łóżka z facetem. Dzięki, że się poświęcasz, stary. Zaszczepiłeś się? Wziąłeś lateksowy garniturek?

Byli o kilka lat starsi ode mnie i o tyle samo modniej ubrani.

Uśmiechałem się i trzymałem gębę na kłódkę. Mniej więcej.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że jarają ją rudzielcy.

– Ja przynajmniej mam włosy. Nikt nie lubi łysoli.

– Mam w domu fantastyczną laskę, która lubi.

– Ostatniej nocy mówiła co innego.

Mniej więcej.

Weszła Antoinette Conway z naręczem papierów i zatrzasnęła łokciem drzwi. Skierowała się w stronę biurka.

Zamaszysty krok, idziesz ze mną albo spieprzaj. Wysoka jak ja – metr osiemdziesiąt – i to celowo: pięć centymetrów wzrostu dodawały kanciaste obcasy, którymi mogłaby błyskawicznie zmiażdżyć ci palce u stóp. Czarny kostium ze spodniami, drogi, wąski i mocno dopasowany; nie próbowała maskować długich nóg i jędrnego tyłka. Przechodząc przez biuro, w milczeniu nadawała jeden komunikat: „Coś ci się nie podoba?".

– Przyznał się, Conway?

– Nie.

– Ej, flaczejesz.

– To nie jest podejrzany, palancie.

– I to miałoby cię powstrzymać? Porządny kop w wory i gra muzyka: facet wyśpiewa wszystko.

To nie były zwykłe przekomarzanki. Wyczuwało się napięcie, wyraźną zjadliwość. Nie wiedziałem, czy chodziło o nią, czy też był to akurat taki dzień, czy taki wydział. W zabójstwach jest inaczej. Puls bije szybciej i mocniej; balansuje się na cieńszej, rozpiętej wyżej linie. Jeden niewłaściwy krok i po tobie.

Conway usiadła za biurkiem, zaczęła coś pisać na komputerze.

– Przyszedł twój chłopak, Conway.

Zignorowała tę informację.

– Nie dasz mu mokrego całusa?

– Co ty pieprzysz?

Żartowniś wskazał mnie kciukiem.

– Jest twój.

Conway mi się przyjrzała. Zimne ciemne oczy, pełne usta, które nie drgnęły nawet o milimetr. Zero makijażu.

– Tak?

– Stephen Moran. Sprawy niewyjaśnione. – Podałem jej nad

biurkiem kopertę z dowodem. Podziękowałem Bogu, że nie należałem do tych, którzy poniewierali Conway w szkole. – Dzisiaj to dostałem.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, kiedy zobaczyła kartkę. Obejrzała ją uważnie z obu stron, przeczytała zeznanie.

– To ona – powiedziała, widząc u dołu podpis Holly.

– Znasz ją?

– Przesłuchiwałam ją w zeszłym roku. Parę razy. Gówno z niej wyciągnęłam; cholerna nadęta gówniara. Wszystkie takie są w tej szkole, ale ta była jedna z najgorszych. Jakbym wyrywała zęby.

– Myślisz, że coś wiedziała?

Ostre spojrzenie znad formularza z zeznaniem.

– Jak to w ogóle do ciebie trafiło?

– Holly Mackey była świadkiem w sprawie, nad którą pracowałem w dwa tysiące siódmym. Mieliśmy ze sobą dobry kontakt. Wygląda na to, że lepszy, niż myślałem.

Conway uniosła brew. Słyszała o tej sprawie. Czyli musiała też słyszeć o mnie.

– Okay. – Ton jej głosu nie zdradzał niczego, ani dobrego, ani złego. – Dzięki.

Odwróciła się ode mnie, wstukała numer telefonu. Przytrzymując słuchawkę brodą, odchyliła się na krześle i jeszcze raz czytała zeznanie.

Nieokrzesana, powiedziałaby o niej moja mama. „Ta Antoinette", i spojrzenie z ukosa, i lekko cofnięta broda: „trochę nieokrzesana". Nie chodziło o osobowość, w każdym razie nie tylko; raczej o pochodzenie. Świadczył o nim akcent i wzrok. Dublin, śródmieście; być może krótki spacerek od części miasta, w której się wychowałem, ale w rzeczywistości wiele kilometrów dalej. Wieżowce. Graffiti, zrobione przez marnych naśladowców IRA, i kałuże moczu. Ćpuni. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie zdali żadnego egzaminu, ale wszystkie zawiłości obliczania zasiłków mieli w małym palcu. Ludzie, którzy nie pochwaliliby Conway za wybór drogi zawodowej.

Są tacy, którym podoba się nieokrzesanie. Myślą, że to fajne, że to cool, że kiedy tym nasiąkną, świetnie nauczą się ulicznego slangu. Nieokrzesanie wcale nie wydaje się sexy, kiedy wychowałeś

się na jego obrzeżach, a cała twoja rodzina musiała się zmagać z jego falą, żeby utrzymać głowy nad powierzchnią. Wolę okrzesanie, wolę miękkość aksamitu.

Powtórzyłem sobie: nie trzeba być najlepszym kumplem Conway. Wystarczy być na tyle użytecznym, żeby radar jej szefa namierzył cię i zaczął śledzić.

– Sophie? Tu Antoinette. – Jej usta rozluźniły się, kiedy rozmawiała z osobą, którą lubiła; ich kącik lekko się uniósł, jakby wyzywająco. Wyglądała dzięki temu młodziej, wyglądała jak ktoś, z kim możesz nawet spróbować pogadać w pubie, jeżeli masz dość odwagi. – No, w porządku. A u ciebie?… Wysyłam ci zdjęcie… Nie, ze sprawy Harpera. Potrzebne mi odciski palców, ale mogłabyś też obejrzeć samą fotkę? Sprawdzić, czym została zrobiona, kiedy, gdzie, na czym ją wydrukowano. Wszystko, co ci się uda znaleźć. – Uniosła kopertę. – I na zdjęciu mam naklejone słowa. Wycięte, jak w jakimś cholernym liście z żądaniem okupu. Spróbujesz ustalić, skąd je wycięto, dobra?… Tak, wiem. Liczę na cud. Na razie.

Odłożyła słuchawkę. Z kieszeni wyjęła smartfon i zrobiła zdjęcia kartki: z przodu, z tyłu, w zbliżeniu, z daleka, pojedynczych szczegółów. Podeszła do drukarki w rogu biura, żeby je wydrukować. Potem odwróciła się do swojego biurka i zobaczyła mnie.

Wbiła we mnie wzrok. Wytrzymałem jej spojrzenie.

– Jeszcze tu jesteś?

– Chcę z tobą nad tym pracować – oznajmiłem.

Parsknęła krótkim śmiechem.

– Akurat. – Z powrotem usiadła przy biurku, znalazła w szufladzie kopertę.

– Sama mówiłaś, że nic nie wskórałaś z Holly Mackey i jej koleżankami. Ale mnie lubi albo ufa mi na tyle, że przyniosła mi tę kartkę. Jeżeli będzie chciała ze mną rozmawiać, przekona koleżanki, żeby też ze mną rozmawiały.

Conway zastanawiała się nad tym. Kołysała krzesłem z boku na bok.

– Co masz do stracenia? – zapytałem.

Może sprawił to akcent. Większość gliniarzy pochodzi ze wsi, z małych miasteczek; nie przepadają za cwaniakami z Dublina, którzy uważają się za centrum wszechświata, choć wszyscy wiedzą, że

to jego zadupie. A może spodobało się jej coś, co o mnie słyszała. Tak czy owak napisała na kopercie nazwisko, włożyła do niej kartkę ze zdjęciem.

– Jadę do tej szkoły rzucić okiem na tablicę i pogadać, z kim się da. Jak chcesz, możesz jechać ze mną. Jeżeli na coś się przydasz, możemy porozmawiać o ciągu dalszym. Jeżeli nie, możesz spierdalać z powrotem do niewyjaśnionych.

Wiedziałem, że lepiej pohamować chęć głośnego triumfowania.

– Brzmi nieźle.

– Musisz zadzwonić do mamusi i powiedzieć, że nie wracasz do domu?

– Mój szef wie, o co chodzi. Żaden problem.

– Dobra. – Conway gwałtownie odsunęła krzesło. – Po drodze przybliżę ci temat. I ja prowadzę.

Kiedy ruszyliśmy do drzwi, ktoś za nami cicho gwizdnął. Przez biuro przebiegł szmer chichotów. Conway nie obejrzała się za siebie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.